„Głos Narodu“ ilustrowany.



I. nagroda. Autor: K. Rzeczycki.

Konkurs na afisz artystyczny.

Towarzystwo Politechniczne we Lwowie obchodzi w roku bieżącym dwudziestopięciolecie swego istnienia i datę tę postanowiło upamiętnić urządzeniem wystawy, któraby plastycznie przedstawiła szereg prac, wykonanych przez Towarzystwo w tym okresie czasu. A ponieważ w obrębie jego skupiają się od samego początku wszystkie, najintensywniej działające siły techniczne wschodniej części kraju, więc będzie to zarazem historyczny przegląd rozwoju techniki wschodnio-galicyjskiej zarówno w naukowem, jak praktycznem znaczeniu. Okoliczność ta nadaje wystawie jubileuszowej Towarzystwa technicznego szerszą doniosłość.

Komitet wystawowy zajmuje się od szeregu tygodni przygotowaniami. Jedną z takich prac przygotowawczych było rozpisanie konkursu na artystyczny plakat wystawy. Konkurs rozstrzygnięto już. Pierwszą nagrodę przyznał sąd projektowi pod godłem »Promień«, drugą projektowi pod godłem »Rawicz«, trzecią projektowi pod godłem »Stefa«. Nadto twórcy czwartego projektu pod godłem »Audax« wyrażono uznanie. Po otwarciu kopert, zawierających nazwiska uczestników konkursu, okazało się, że twórcą projektu, nagrodzonego pierwszą nagrodą, jest p. Kazimierz Rzeczycki, a projektu, nagrodzonego trzecią nagrodą p. Wacław Krzyżanowski, (Krakowianin), obaj słuchacze szkoły politechnicznej we Lwowie. Dwaj inni panowie są nieznani.

Podajemy reprodukcye wszystkich czterech projektów podług fotografij, wykonanych na umyślne zamówienie naszego pisma.

Marya Konopnicka.

Sylwetka jubileuszowa.

»...Za ostatnim poetą zamknęła się brama«.

. . . .

Żył i tworzył jeszcze jeden z wielkich, który lirę wieszczów wzbogacił struną nowego piękna, ale i on miał w duszy rysę, wróżącą, że jest swego znaku ostatnim. Asnykowi zbywało na tem, co czyni poezyę wielką, szczególnie poezyę polską: nie posiadał entuzyazmu idei. Odkąd usłyszał był głos:

...Zerwij dawną z grobami zażyłość,
I całą przeszłość marzeń chciej zostawić,
Aby cię znowu nie zbłąkała miłość —

odtąd zerwał z poezyą mistyczną i bohaterską. Poeta przestał być wieszczem-wajdelotą, mistrzem i kierownikiem narodu. Wiara w nim była strzaskana — do głosu przyszedł rozum. Umilkła intuicya, instynkt duszy wybranej — pozostała logika życiowa i naukowa. Wziął też Asnyk z wiedzy współczesnej więcej, niż zdawałoby się, iż wiedza poecie może dać; wziął bogactwo obrazów, ścisłość języka, mnóstwo przenośni, zastosowanych do świata moralnego, kojącą, filozoficzną wiarę w »krąg przemian« — nie mógł tylko wziąć tego, czego wiedza nie daje: kategorycznych rozkazów duszy, tej siły, która mówi: idź i czyń! — tej potęgi idei, która mówi: »Jeśli umiesz sięgać w nieskończoność... jeśliś tem, czem wydawałeś się niegdyś... wstań, porzuć dom i chodź za mną...«



II. nagroda. Autor: Rawicz (pseudonim).



III. nagroda. Autor: Wacław Krzyżanowski.



Afisz, odznaczony na czwartem miejscu.

Poeta nie przerastał swego czasu, a czas brzmiał jedną tylko nutą: odą do młota i kielni. Rodzina wieszczów-wodzów narodu, zdało się, wymarła.

»...Za ostatnim poetą zamknęła się brama...«
. . . .
Cóż to za pacholę,
Z głową wzniesioną w niebo, źrenicą rozwartą
Szeroko, patrząc w błękit ten, czysty, jak fala
Egejska, gdy w niej jutrznia łuny swe rozpala,
Stoi w cichym zachwycie? Nad nim szumią drzewa,
Ptak wędrowny skrzydłami bije i pieśń śpiewa,
Olimp w mgłach gubi czoła, jak senny atleta...
Echo pieśni Homera w błękitach gdzieś kona,
A w około powstają bohaterów cienie
I ojcowie o wielkiem sercu idą smutni...
Zadumanemu chłopcu pierś chwyciło drżenie,
Spłonął i wyciągając młodzieńcze ramiona,
Głosem czystym, jak kryształ, wołał: lutni! lutni!
. . . .
— Jakto? — wielcy bogowie! — czyż znowu poeta?!

Rozległ się na smutnych rozłogach głos poety — głos Maryi Konopnickiej.

I nawiązała ona do liry polskiej kilka strun, które dawno w niej nie brzęczały — zaszczyt dla poety największy! — i podniosła poezyę do wyżyny, z której świeci narodowi, jako słup ognisty i stała się znowu mistrzynią i przewodniczką ludu...

Pierwszy okres twórczości Konopnickiej tkwi jeszcze zupełnie w duchu czasu pozytywistycznego, owianym mgłą i słodką mową Słowackiego. Nastąpił około roku 1880 okres drugi: społeczny. Poetka z »przeszłości«, z teoretycznych roztrząsań, z walk o ideały rozumu, zeszła na ziemię. I dostrzegła na niej: »Przed sądem«, biedne dziecię, wychowane bez ciepła i światła, a już przybijane do krzyża pokuty za grzechy społeczeństwa; i dostrzegła gromadkę wiejską, idącą z »szopką« do dworu, jakkolwiek do niej z wyżyn nikt nie schodzi — »widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może!« Dostrzegła wszystkie krzywdy ziemi i zaczęła szturmować o nie do nieba...



Marya Konopnicka,
(z dawnego portretu).

Jest to widok w swoim rodzaju jedyny tej kobiety młodej, płomienną obdarzonej duszą, która z Olimpu schodzi, by przyciskać do serca maluczkich i cierpiących i świetlistą dłoń podnosi, by nieba im trochę zbliżyć.

Ile w tem serca prawdziwie kobiecego, a ile suggestyi czasu, idei jego socyalnych, teoryj szarych i ruchów tłumu, które około r. 1880 zaczęły zapełniać u nas atmosferę? Najwięcej i najszczerzej zapewne przemawia tu dusza kobieca w prawdziwą zaklęta poezyę. Mamy tu prawdziwie kobiece rozczulenie, prawdziwie kobiece perły łez i słów nadmiaru, prawdziwie kobiece kochanie sercem, bez wyciągania ręki do czynu. I tylko kobieta mogła napisać:

Nie wam, słowiki, wtórzyć
przychodzę,
Nie z tobą, różo, kwitnąć
przy drodze,
Którą przemija smutnych
tysiące,
Niesionych burzą od
wieku...

Nie z tobą w blaskach budzić się, słońce,
Co świecisz również cicho
i jasno,
Czy duchy płoną — czy
w walce gasną...
Lecz z tobą płakać —
człowieku!

A z łez tych powstał dyadem, zdobiący na wieki skroń poetki, a zarazem jaśniejący bliskim i dalekim, jako gwiazda przewodnia... Idee wieku znowu znalazły w poezyi swoje wcielenie, znowu zajaśniały na sztandarze w walce duchów.



Stanisław Szczepanowski.

A jeśli sprawa tych pereł przez pewien czas mogła miłośników czystej sztuki razić, jeśli na sztandarze było zbyt wiele haseł, tendencyi — w dalszych swych utworach Konopnicka przetapia już swe uczucia w czystą, nieskażoną poezyę. Z duszy jej płyną liryki, śpiewne i słodkie, do najsłodszych dźwięków mowy polskiej zaliczone, a pełne treści ideowej.

Ażebyś ty, jasne słonko,
Wiedziało,
Co na ziemi jeszcze cieniów
Zostało,
Nie padałobyś tak rychło
Za góry,
Za te lasy w płaszczu tkanym
Z purpury.

Krótki dzionek do wieczora
Od wschodu...
Nie powstaje pieśń zakrzepła
Narodu...
Nie nabiorą światłem myśli
Człowieka,
Kiedy słonko tak nam prędko
Ucieka!

Posuwając się dalej w tym kierunku, Konopnicka dochodzi do najwyższych kresów, jakie są dane poecie: zlewa się z narodem, wciela się w najtajniejsze głosy jego istoty i duszy.

Jak zawsze — droga prowadzi przez lud.

Zamieszkała Konopnicka wśród niego, wzięła odeń dźwięki jego pieśni, echo jego uczuć, wyrazy proste, a szczere, wierne jego myśli. Dała »na fujarce« szereg piosnek, pachnących rosą, dźwięczących świegotem, jaśniejących całą krasą wsi polskiej. Dała szereg nowel, między któremi — rzecz charakterystyczna! — prawie żadna nie rozgrywa się w sferze »inteligencyi« — wszystkie wśród ludu. Trafiła w ton, który jest bezpośrednim wyrazem uczuć ludu, bezpośrednim wyrazem duszy narodu. Odtąd łka i śmieje się przez nią lud cały, odtąd dąży, walczy i cierpi w niej naród cały. Konopnicka obejmuje rozległe horyzonty w wszechmyśli *(Imagina)*, najpiękniejszych tworów i polotów człowieczeństwa *(Hellenica, Italia)*, ale najlepiej i najpewniej czuje się w domu, którym dla poety jest serce jego ludu. I wsłuchana w szmery jego tęsknot, pragnień i bólów, wsłuchana zarazem w szepty nieśmiertelnego tego Króla-Ducha, jakim jest Słowacki, wyśpiewała swego »Pana Balcera w Brazylii«, epopeję, którą prof. Brückner stawia obok »Pana Tadeusza«.

Konopnicka znajduje się w najpiękniejszym wieku twórczości i siły ducha. Dużo, dużo jeszcze po niej można oczekiwać, ale już dzisiaj, przeglądając wspaniały jej dorobek, trzeba powtórzyć, co sama kiedyś pisała o Prusie:

Jeszcze na Twoje żniwo czas,
Kwiat jeszcze na Twej grzędzie,
A dziś już kłopot jest pośród nas:
Co kiedyś będzie?

W każdym razie będzie miłość i wdzięczność całego narodu. *Zoil.*

Spadek po Szczepanowskim *).

W dwudziestu latach działalności publicznej zamknięty jest ów spadek, niedoceniony przez sukcesorów. Rzecz dziwna, człowiek, który niejako myślał cyframi, zarobił sobie w społeczeństwie galicyjskiem na opinię ideologa, fantasty i marzyciela »Ideologią« jego była ogromna wiara w siły żywotne i produkcyjne narodu i ta ideologia stworzyła trzy wielkie ogniska ruchu przemysłowego, dała krajowi milionowe wartości, podniosła stopę życiową tysięcy ludzi, mrą-

*) Zwłoki ś. p. Stanisława Szczepanowskiego mają być niebawem staraniem Tow. Naftowych sprowadzone do kraju.



Grób Szczepanowskiego w Nauheim.



Jan Reszke w roli Siegfrieda w operze paryskiej.

cych z głodu, stworzyła setki charakterów dzielnych, wyrobionych w ogniu pracy twórczej. W zbiurokratyzowanej Galicyi musiała się jaskrawo odcinać na tle powszechnem sylwetka tego fabrykanta-poety, farysa wśród szumu maszyn parowych, którego ideałem była bujna i zwycięzka pełnia sił żywotnych, huragan wezbranej woli, a najlepszym typem ludzkim pionier »władca przyrody i pan przeznaczenia«. W jednym ze swoich artykułów Szczepanowski nakreślił taką sylwetkę idealnego człowieka: »Z wiarą w sercu, z ręką na sterze, z okiem na gwiaździe polarnej, z wolą wiecznie naprężoną, ze zmysłami wiecznie rozbudzonymi, jak nie śpiące nigdy siły natury, nad któremi chce panować, wybiera prądy, wymija skały i mielizny i dąży bez wytchnienia do oznaczonego celu — a szum bałwanów, poświst wiatrów, wszystkie te głosy wzdrygających się, ale już ujarzmionych żywiołów, to hymn tryumfalny jego potęgi«.

Takim żeglarzem zuchwałym i wyniosłym, marzącym z cyrklem i miarą w ręku o zmuszeniu przyrody do zanucenia hymnu zwycięzkiego na cześć człowieka, był sam Szczepanowski. Przegląd poniższy jego działalności, to poszczególne akordy owej pieśni, niewyśpiewanej do końca.

* * *

Koleje życia.

Stanisław Szczepanowski urodził się w Kościanie, w Księstwie poznańskiem, 12. grudnia 1846 r. Nauki pobierał najpierw w gimnazyum w Chełmnie, w Prusach zachodnich, potem w szkole realnej w Wiedniu. Skończywszy tę szkołę, pracował przy budowie kolei na Węgrzech, poczem uczęszczał na politechnikę wiedeńską, poświęcając się z zamiłowaniem chemii. W r. 1867 udał się do Paryża dla zaokrąglenia studyów, a następnie do Anglii, gdzie pracował w laboratoryum chemicznem nad analizą żelaza, a potem, jako sekretarz szefa sekcyi ministerstwa dla Indyi, przez lat dziewięć. W r. 1873 na krótko, po raz pierwszy pojawił się w Galicyi, zwiedził kraj w całej jego rozciągłości, zebrał najnowsze publikacye statystyczne i już wtedy rzucił na papier szkic »Nędzy Galicyi«. W podróżach, które następnie odbył po Niemczech, Francyi, Włoszech i Anglii, gorliwie studyował sposoby, zapomocą których dźwigały się one na coraz wyższe wyżyny ekonomiczne. W r. 1879 przybył do Galicyi i zabrał się natychmiast do urzeczywistnienia swoich planów, powziętych na obczyźnie. W pierwszych latach ośmdziesiątych przemysł naftowy w Galicyi był już faktem dokonanym. Najpierw powstała Słoboda Rungurska, potem rafinerya w Peczeniżynie. Olbrzymie powodzenie uczyniło Szczepanowskiego odrazu jednym z najpopularniejszych ludzi w Galicyi. Dla obrony interesów przemysłu naftowego, któremu po nagłym i świetnym rozkwicie zagroził ruiną falsyfikat węgierski, wybrano go w r. 1886 posłem do Rady państwa. Ten pierwszy mandat powierzyli Szczepanowskiemu przedstawiciele wielkiej własności ziemskiej, okręgu stryjskiego, uwalniając kandyta od wypowiadania wiary politycznej. W krótkim czasie powiodło się Szczepanowskiemu obronić skutecznie interesy nafty galicyjskiej, lecz wir wypadków politycznych zatrzymał go już na wielkiej arenie w Wiedniu. W rok po wyborze na posła, ogłosił Szczepanowski swoje słynne dzieło: »Nędza w Galicyi w cyfrach i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego«, które w krótkim czasie rozeszło się w dwóch wydaniach. Z kolei wszedł do sejmu, jako poseł miasta Lwowa. W obu ciałach parlamentarnych zajął stanowisko pierwszorzędne, lecz wytężona i zupełnie niemal absorbująca go praca parlamentarna, wpływala fatalnie na bieg jego interesów majątkowych. Rok 1894 przyniósł nową falę obowiązków.

C. d. n.



Walka Siegfrieda ze smokiem.

zuje przeszło 1.500 numerów, wystawców jest około 80. Wszystkie artystyczne techniki fotograficzne, nieznane publiczności, są obficie reprezentowane, zwłaszcza druki gumowe, węglodruki i pigmenty.

Z nowości zobaczymy fotografie na aksamicie, jedwabiu, płótnie, drzewie, skórze etc.

Obok fotografii art. *clou* Wystawy stanowi sala, zajęta wystawą Tow. Akcyjnego dla przemysłu tkackiego Szczepanika. Wynalazki Szczepanika, oparte na zastosowaniu fotografii, pierwszy raz będą tu Krakowowi przedstawione. Ujrzymy rozliczne fotogr. patrony tkackie z kartonu i metalu, wzorzyste tkaniny, reprodukcye aparatów i pierwszy g o b e l i n j e d w a b n y, ofiarowany przez Szczepanika C e s a r z o w i. Nadto O d d z i a ł A r t. R e p r o d., utworzony przy Patroniarni Galicyjskiego Towarzystwa, wystawi szereg kolosalnych powiększeń bromo-srebrnych, naturalnych i kolorowanych.

Na Wystawie przygrywać będzie orkiestra »Harmonii« i urządzony będzie bufet. Komitet myśli też o szeregu interesujących produkcyj na Wystawie.

Komitet Wystawy stanowią pp.: prof. Axentowicz, prof. Stanisławski, Dr Bylicki, prof. R. Zawiliński, J. Sebald, właściciel znanego zakładu fotogr. i Ludwik Szczepański, redaktor »Ilustracyi Polskiej«. Komitet wyda dyplomy honorowe i nagrody.

Dochód z Wystawy przeznacza się na cele Tow. »Szkoły Ludowej« i Tow. »Polska Sztuka Stosowana«.

O otwarciu Wystawy zawiadomią plakaty i dzienniki.

Z Paryża.

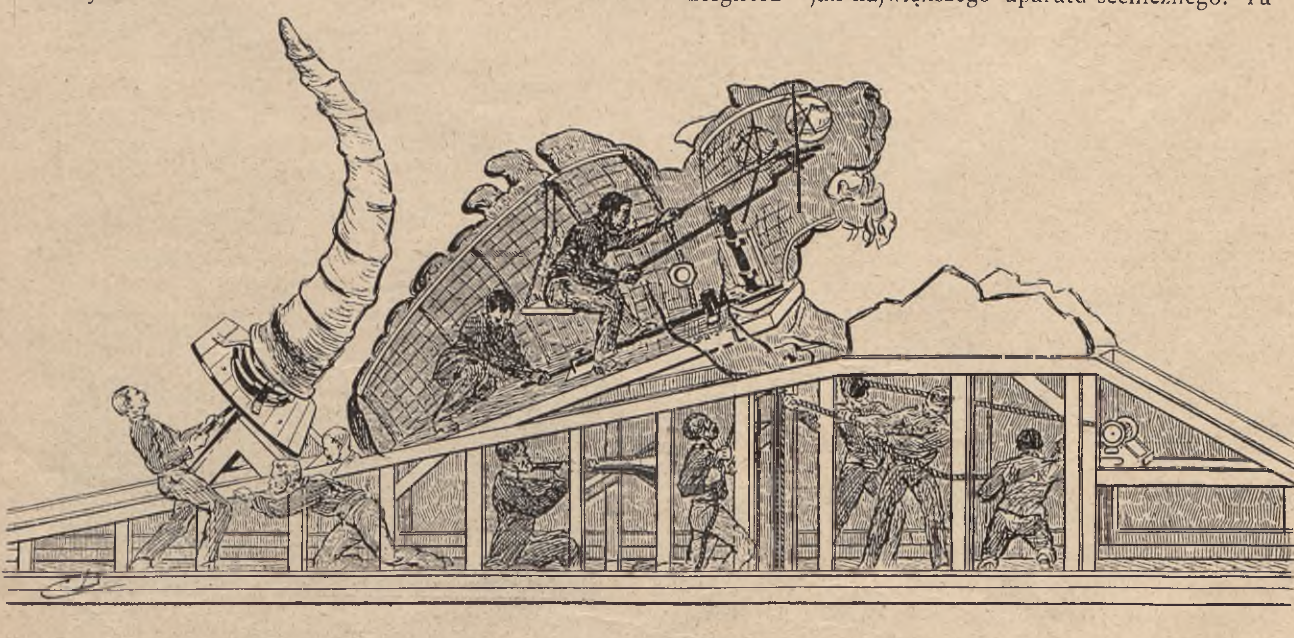
»Siegfried« Wagnera w Operze Paryskiej. — Za kulisami Opery. — Tryumf Reszkego.

Wagner zawładnął Paryżem.

Opera Paryska w tygodniu ubiegłym wystawiła z niesłychanym sumptem »Siegfrieda« — a bohaterem wieczoru jest nasz Jan Reszke, król tenorów. Jakkolwiek słynny śpiewak głos ma już nieco nadszarpany, tryumf jego był zupełny. Rycina nasza przedstawia Reszkego jako Siegfrieda, na końcu pierwszego aktu w jednym z najbardziej patetycznych momentów dramatu. Młody Siegfried właśnie w ciemnej pieczarze karła Mima ukował ów miecz bajeczny, Nothung, któremu w ręku jego nic oprzeć się nie zdoła — i pełen radości wznosi go do góry, wydając okrzyk tryumfalny.

Teraz pospieszy na ratunek Brunhildy, która we śnie pogrążona, otoczona murem płomieni, oczekuje rycerza-zbawcy...

Ze wszystkich oper Wagnera »Siegfried« wymaga najmniejszego personalu — zawiera bowiem tylko ośm ról, bez żadnych chórów. Natomiast wymaga »Siegfried« jak największego aparatu scenicznego. Ta



Z opery paryskiej.
Jak się złudzenie sceniczne osięga: Maszynerya smoka w operze Wagnera »Siegfried«.



Piotr Miklavec
(patrz artykuł »Chłop tłomaczem Sienkiewicza«.

sztuka »leśna«, jak ją Wagner nazywał, rozgrywa się cała na tle przyrody i wymaga wielkich dekoracyj.

Opera Paryska rozwinęła w tym dramacie muzycznym całe bogactwo dekoracyj i maszyneryi. A sztuczek maszyneryi tu potrzeba nie mało, np. w kuźni, gdzie Siegfried kowa swój miecz — a przedewszystkiem z okazyi walki ze smokiem.

Ten smok — to olbrzym Fafner, który który zagrabił skarb Nibelungów i żyje w jaskini, przemieniwszy się dla swego bezpieczeństwa w straszliwego smoka. »Leżę i posiadam, dajcie mi spać«, odpowiada na ostrzeżenia Albericha i Wotana, którzy zawiadamiają go o zbliżaniu się Siegfrieda. I Siegfried nadchodzi, w ciężkiej walce zabija smoka i zdobywa pierścień, który mu zapewnia moc wszelką.

Z tym smokiem opery mają zawsze nie mało kłopotu. Wagner życzył sobie, żeby walka była przedstawiona w całej grozie na scenie; a życzenie mistrza dla jego wyznawców jest święte. Ale nawet w Bayreuth nie udało się smoka przedstawić należycie strasznym, a walkę uplastycznić należycie.

Dopiero w Operze Paryskiej rozwiązano to zadanie. W jaki sposób, przedstawiają ryciny:

Cały korpus smoka jest ruchomy, zrobiony z kartonu, kryjącego w głębi kilku maszynistów. Smok wysuwa się z jaskini *en face* do publiczności, t. j. wyciągany jest po równi pochyłej na przód sceny. Osobna maszynerya umożliwia smokowi ruchy łap; ogonem uderza się po bokach i stara się nim zagarnąć Siegfrieda. Z pyska bucha mu dym ognisty (czerwona lampka elektryczna, ukryta w głębi paszczęki i puszczane strumienie pary wybornie to imitują), oczy błyszczą wściekłością... Ale Siegfried korzysta z chwili, gdy smok się podnosi, chcąc go przygnieść ciężarem cielska, — aby mu miecz utopić w piersi — i tryumfuje wśród szalonej orgii tonów muzyki.

Chłop tłomaczem Sienkiewicza.

Siedziałem w skromnem mieszkaniu Aszkerca, poety i redaktora »Lublańskiego Dzwonu«. Towarzysze podróży oglądali »białą Lublanę«, ja odwiedzałem dawnych znajomych, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmuje ów, niepospolity lutnista.

Jestem wam niewymownie wdzięczny — mówił — żem za waszem pośrednictwem pozyskał dla »Zvonu« piękny artykuł o najnowszej waszej beletrystyce i o Sienkiewiczu. Miałem tylko wiele kłopotu z ich przekładem, ale jakoś to się udało, a co najważniejsza, że artykuły podobały się u nas wielce.

— To nikt tu u was po polsku nie rozumie? — zapytałem. — A przecież macie przekłady Sienkiewicza!...

— To też właśnie ciekawa historya, że tłumacz może przekładać Sienkiewicza dość łatwo i dobrze, a trudno mu przekładać rozprawy literackie.

— Tego już nie rozumiem; wszak to wszystko jedno...

— Jak dla kogo. Nasz tłumacz jest samoukiem, który tylko szkołę ludową ukończył.

— To być nie może!

— Nietylko być może, ale jest. Jest to wieśniak, dosyć ubogi, Piotr Miklavec z Rybnicy (Reischach) w Styryi południowej. Zwyczajnie używa pseudonimu »Podrawski«. Przełożył »Ogniem i mieczem«, już dawno wydane, potem »Potop«, a obecnie przekłada «Quo vadis«? Oba te ostatnie romanse wyjdą w Gabrszczekowej »Slovanskej knjiżnicy« w Gorycy...

— Ależ to rzecz niepojęta, jakim sposobem mógł człowiek z tak małem wykształceniem zrozumieć powieści Sienkiewicza, a nawet je przełożyć? Gdzież się po polsku nauczył?

Nauczył się z czytania. Co czytał przedtem, nie wiem. Dość, że tłomaczy poprawnie i szybko. Po pracy na roli ociera znój z czoła i siada do czytania lub przekładów. Bo tłómaczy nietylko z polskiego, ale i z rosyjskiego języka...

— Zkądże jednak zna tak dobrze język literacki słoweński? Musi chyba wiele czytać?

— Naturalnie, że się ciąg'e kształci. Ale oprócz tego posiada niezwykły talent językowy, że bez objaśnień rozumie nawet wyrazy obce, wzięte z języków sobie nieznanych. Prawdziwy egzamin dojrzałości złożył, przekładając z języka polskiego dwie rozprawy prof. Mazanowskiego o najnowszem polskiem powieściopisarstwie i o lirykach współczesnych polskich. Sprostał zadaniu ku zupełnemu memu zadowoleniu.

— To tylko jest możliwe u was.

— Dlaczego?

— Naród, który wydał Kopitara i Miklosicza, Jarnika, Oblaka, Murkę, Janeżicza, Pletersznika, Kreka i cały szereg głośnych językoznawców może wydać i fenomenalnego Miklavca.

— Macie słuszność — zakończył mój gospodarz, poczem przeszliśmy w rozmowie na inny przedmiot.

W samotności przedziału kolejowego myślałem potem długo o Miklavcu i gdyby moja podróż była mogła wieść w tym kierunku, byłbym go niezawodnie odwiedził. Narazie musiałem tego zaniechać; może to uczynię w przyszłości, kiedy Miklavec przełoży na język słoweński — wszystkie dzieła Sienkiewicza. Zasłuży rzetelnie na hołd z naszej strony.

Roman Zawiliński.



Rybnica w Styryi południowej.
Rodzinna wioska Piotra Miklavec.

Powieściopisarz wynalazcą.

P. Kazimierz Rosinkiewicz, sekretarz politechniki lwowskiej, znany od kilku lat, jako powieściopisarz, pisujący pod pseudonimem Kazimierza Rojana, posiada nietylko talent literacki, ale i wynalazczy. Od dość dawna już pracował p. Rosinkiewicz nad skonstruowaniem maszyny do składania i rozbierania czcionek. Maszyna ta jest już gotową i wynalazca demonstrował ją właśnie przed kilku dniami wobec grona znawców w Towarzystwie Politechnicznem we Lwowie.

Machina, którą p. Rosinkiewicz zbudował, nie jest nowością. Pomysłów podobnych uskuteczniono już w rozmaitych krajach, a zwłaszcza w Niemczech i Anglii tyle, że machina zecerska, mająca za zadanie zastąpić automatem pracę żywego człowieka, posiada już swoją obfitą historyę. Wszystkie jednak dotychczasowe pomysły okazywały się w zastosowaniu z rozmaitych przyczyn niepraktyczne, lub tak kosztowne, że nie opłaciło się ich realizować. Pomysł zaś p. Rosinkiewicza, według zdania znawców, ma stanowczą wyższość nad innymi. Okazuje się to z porównania, które podajemy na odpowiedzialność naszego wynalazcy. Otóż dotychczasowa najlepsza, amerykańska maszyna Morgenthalera, zapomocą której można złożyć w godzinie około 5.000 czcionek, kosztuje 8.000 złr. Po wykonaniu druku podlegają czcionki stopieniu i odlewa się je na nowo. Maszyna p. Rosinkiewicza składa nieco mniejszą ilość czcionek, a rozbiera przeszło 10.000 w godzinie, t. j. przeszło 30 razy więcej, aniżeli jeden robotnik zdoła rozebrać w tym czasie. Różnica w kosztach jest bardzo znaczna, gdyż obie maszyny p. Rosinkiewicza kosztują tylko 1.500 złr. Zaletą ich jest także to, że można drukować za ich pomocą różnymi typami pisma (cicero, garmond, borgis, petit), podczas gdy, znane dotychczas maszyny, nadają się tylko do jednego typu, a zmiana w razie konieczności pociąga za sobą znacznę stratę czasu.

Wynalazek p. Rosinkiewicza został już w kilku państwach opatentowany, a wynalazca układa się właśnie o sprzedaż patentów.



Powieściopisarz wynalazca Kazimierz Rosinkiewicz.

Z TEATRU.

„Mężczyzna". „Car jedzie".

W najbliższym czasie teatry krakowski i lwowski wystawią nowe sztuki p. Zapolskiej-Janowskiej.

Enfin du théâtre! Po tylu nieudanych próbach ujrzymy utwory, w których drga nerw dramatyczny, bez którego teatr żyć nie może.

Sztuki p. Zapolskiej zawsze budzą wielkie zainteresowanie. Tem więcej zaś zaciekawia sobotni wieczór, że tytuł »Mężczyzna« zdaje się zapowiadać studyum psychologiczne w rodzaju »Żabusi« (którą znawcy uważają za jedną z najlepszych prac autorki).

Korespondent nasz lwowski, bawiąc przed kilku dniami w Dąbrowie, przesyła nam rozmowę, jaką miał z cenioną autorką:

»M ę ż c z y z n a«, do której to sztuki nie mogłam dobrać tytułu, jest analizą c z t e r e c h charakterów w rozmaitem oświetleniu. Tło szare, codzienne i zwykłe. Unikałam najzupełniej efektów meblowych, dekoracyjnych i t. d. Wzięłam sobie pod skalpel cztery ludzkie istoty — postawiłam je w pewnym do siebie stosunku i starałam się ich stan duszy i serc przedstawić ze ścisłą wiernością i prostotą. Są tam tylko trzy kobiety i jeden mężczyzna. Każda z tych kobiet przedstawia typ odmienny, a więc: nerwy, zmysły i duszę. Od jednej do drugiej krąży niezdecydowany mężczyzna. I jest to cała mała tragedya, smutna i prawdziwa. Rezultatem — trup dziecka. Idealna postać socyalistki dominuje nad innemi kobietami i uszlachetnia swym duchowym wpływem zmysłową siostrę. W ogóle typy przeciętne, zwykłe — takie, jak każdy z nas, bez koturnów, patosów i próżnych słów. Mimo to właśnie cała codzienna tragedya. Tyle co do »M ę ż c z y z n y«. Pisałam tę sztukę trzy dni. Grają ją z brulionu. Niepoprawiałam nic. Pierwotnie miała nosić tytuł: »Ahaswerus« — ale odrzuciłam go, bo był pretensyonalny. Źle trochę określa się tytułem: »Mężczyzna« całość sztuki, boć przecież ów Karol nie jest fotografią każdego mężczyzny — ale należało raczej powiedzieć: »Jeden z mężczyzn«. Jednak to byłoby za długie i dla afisza nie dobre.

Następnie korespondent nasz miał sposobność rozmawiania z p. Maskoffem o aktówce »Car jedzie«

»Co do: »C a r j e d z i e« — jest to szkicowo nakreślona chwila, gdy car Mikołaj przejeżdżał przez Warszawę. Wtedy powiewały flagi, biegali komitetowi, illuminowano miasto. Lecz byli tacy, którzy udziału przyjąć w tych owacyach nie chcieli. I taką rodzinę, taki moment naszkicował Maskoff — z całą wiarą i całą gorączką w sercu. Pewien sposób wprowadzania w momentach bardziej nastrojowych rytmicznej prozy jest nowością, którą Maskoff pragnie podnieść i upoetyzować daną chwilę. Jakie będzie powodzenie tej sztuki — zależeć to będzie od wykonania, od zrozumienia ról i przejęcia się niemi«.

R. L. STEVENSON.

NOWE NOCE ARABSKIE.

I. Klub samobójców.

Opowieść o młodzieńcu, roznoszącym ciastka.

Ciąg dalszy.

Gdy tylko tamten wyszedł, książe Florizel zawołał:

— Na co się zda ta bajka, Geraldine? Widzę, że pan całkiem wzruszony, gdy tymczasem ja jestem zupełnie spokojny. Chcę widzieć, jak się to skończy.

— Wasza Wysokość — rzekł pułkownik blady jak ściana – pozwolę sobie zwrócić uwagę Waszej Wysokości na znaczenie Jego życia nie tyle dla przyjaciół, ile raczej dla dobra publicznego. „Jeżeli nie tej nocy“, powiedział ten szaleniec... lecz na samą myśl, że tej nocy mogłaby spotkać Waszą Wysokość jakaś klęska, czemże byłaby moja rozpacz w porównaniu z nieszczęściem i rozpaczą wielkiego narodu?

— Chcę widzieć, jak się to skończy, — powtórzył książę z całą stanowczością — i bądź łaskaw pułkowniku Geraldine pamiętać o swojem słowie szlacheckiem. Pod żadnym warunkiem i w żadnym przypadku, proszę pamiętać, nie wolno bez mojego upoważnienia odsłaniać tajemnicy mojej osoby. Obecnie jeszcze raz powtarzam rozkazy, które znane już są panu oddawna. A teraz proszę kazać podać rachunek!

Pułkownik Geraldine skłonił głowę w pokorze, lecz był bardzo blady, gdy zawołał młodego człowieka do pokoju i gdy potem zawezwał płatniczego. Książę natomiast niezachwiany zachowywał spokój ducha i z wielkim humorem i wesołością opowiedział młodemu samobójcy anegdotę z Palais Royal. Unikał spojrzeń Geraldine'a i z większą niż zazwyczaj starannością jął wybierać cygaro. Istotnie z całego towarzystwa jeden jeszcze książę panował nad wzruszeniem.

Rachunek zapłacono, książę zostawił resztę w rękach zdumionego płatniczego i trójka biesiadników ruszyła jednokonką. Wkrótce powóz zatrzymał się przed furtką ciemnego prawie podwórza. Wszyscy wysiedli.

Kiedy Geraldine zapłacił woźnicę, młody człowiek zwrócił się do księcia Florizela i tak przemówił:

— Panie Godall, jeszcze czas cofnąć się z tej wycieczki. I dla pana również, panie majorze. Proszę się dobrze namyśleć, nim będzie zapóźno; a jeżeli serca wasze mówią „nie“ — w takim razie tędy droga.

— Prowadź nas panie — rzekł książę. — Nigdy nie cofam się przed niczem i raz wyrzeczone słowa wykonywam nieugięcie.

— Zimna krew pańska dodaje mi odwagi — rzekł młody przewodnik. — Nigdy jeszcze nie widziałem człowieka tak spokojnego w takiem położeniu, a jednak nie jesteś pan pierwszym; wielu już odprowadzałem do tych drzwi i niejeden wyprzedził mnie przyjaciel. Lecz to panów nie zajmuje. Proszę tu kilka chwil na mnie zaczekać; wrócę, gdy tylko załatwię wstępne formalności.

To powiedziawszy, młody człowiek skinął ręką towarzyszom, zawrócił w podwórze, wszedł do jakiegoś korytarza i zniknął im z oczu.

— Ze wszystkich naszych szaleństw — rzekł pułkownik Geraldine przyciszonym głosem — to jest najdziksze i najbardziej niebezpieczne.

— I ja tak sądzę — odparł książę.

— Mamy jeszcze chwilę czasu — mówił dalej pułkownik. — Błagam Waszą Wysokość, aby zechciał skorzystać ze sposobności i wrócił jeszcze. Następstwa tego kroku są tak niepewne i zagadkowe, a mogą być tak poważne, że niewątpliwie zasłużę na pobłażanie Waszej Wysokości, jeżeli zbyt daleko posunę się w naleganiach.

— Czy mam więc rozumieć, że pułkownik Geraldine się boi? — zapytał książę, wyjmując cygaro z ust i spogladając ostro w twarz towarzysza.

— Bojaźń moja nie jest osobista, — odrzekł tamten dumnie — co do tego Wasza Wysokość nie ma chyba najmniejszej wątpliwości?

— I ja tak przypuszczałem — rzekł książę wesoło — lecz przykro mi było przypomnieć panu różnicę, jaka zachodzi między stanowiskiem mojem, a pańskiem. Jednak dość już — dość — dodał, widząc, że Geraldine chce się usprawiedliwić — jesteś pan usprawiedliwiony.

I palił spokojnie cygaro, opierając się o jakąś poręcz, aż wreszcie zjawił się z powrotem młody człowiek.

— I cóż — zapytał — czy ułożone już nasze przyjęcie?

— Proszę za mną — brzmiała odpowiedź — Przewodniczący chce widzieć się z panami w gabinecie, — i pozwolę sobie dać małą przestrogę: trzeba być szczerym w odpowiedziach. Ja za panów zaręczyłem; lecz klub wymaga dokładnych wiadomości przed przyjęciem, albowiem gadatliwość jednego człowieka rozprószyłaby całe towarzystwo raz na zawsze.

Książę jął coś szeptać w ucho pułkownikowi. „Proszę mię zastąpić w tem“, mówił jeden; „proszę mię zastąpić w tem“, mówił drugi; a ponieważ szybko poznawali, z kim mają do czynienia, więc i teraz porozumienie ich trwało okamgnienie, poczem poszli za przewodnikiem swoim do gabinetu prezydenta.

Nie było wcale strasznych przeszkód na drodze. Drzwi stały otworem; drzwi wiodące do gabinetu były otwarte na oścież; i tutaj w małym, lecz bardzo wysokim pokoju, młody człowiek znowu zostawił ich samych.

C. d. n.



Willa Góralska.
(Specyalne zdjęcie dla naszego pisma z wystawy, urządzonej staraniem grona artystek polskich w Krakowie.

„Willa góralska."

Wystawa, urządzona przez polskie artystki, bez udziału płci brzydkiej i — nie bez złośliwości (jak mówią) — przed otwarciem wystawy Towarzystwa »Polska sztuka stosowana« — otwarta.

Chciały te panie pokazać, »co to som my«, no i pokazały. Wielce to chwalebna rezolutność! moc dobrych chęci, zasługujących na szczery poklask. Szczędzić ich nie będę ja, wielbiciel i sprzymierzeniec kobiet (obacz »Manggha«). Że coraz więcej ludzi rozumie, iż artysta snuć powinien z siebie, a opierać się na tem, co nasze — to objaw pocieszający. Dość już wykrętasów secesyjnych w »egipskim stylu« (obacz Hotel Bristol w Warszawie), włóczkowych konfederatek na szkła u lamp, paciorkowych pantofelków na zegarki i poduszeczek atłasowych z bukiecikiem niezapominajek, malowanym podług niemieckiej chromolitografii.

A więc na dobrych chęciach polskim artystkom nie zbywało. Rezultaty zaś? Tu wielbiciel i sprzymierzeniec przypomnieć sobie musi, iż jest krytykiem. Krytyk zaś jest od tego, aby mówił każdemu z bezwzględną szczerością to, co myśli. Błądzić może, ale niechaj błądzi w dobrej wierze; biorąc się zaś do wydawania sądów, powinien się czuć i być kompetentnym, absolutnie — moralnie i materyalnie — niezależnym. Te dwa ostatnie warunki gwarantują czytelnikowi czystość intencyj krytyka. Gdy spełnia jedynie niezbyt miły obowiązek, każdej zaś chwili może się ukłonić i odejść, rzecz prosta, że, wtedy, gdy mówi — chodzi mu zawsze i jedynie o rzecz i o nic więcej. Cóż go obchodzą osoby, których albo nie zna, albo może nie znać i którym nie ma powodu zazdroszczenia czegokolwiekbądź?

Skoro się stało, iż obecnie jestem krytykiem, będę takim, jakim w mojem mniemaniu być powinienem: bezwzględnie szczerym. Udowodnienie zaś, że nie odpowiadam postawionym przezemnie warunkom na krytyka, pozostawiam moim (coraz liczniejszym naturalnie) nieprzyjaciołom.

Rezultaty... hm... hm... Rezultaty z chęciami nie zawsze chodzą w parze. Pełnym dobrych chęci był prof. Kovats; pełnym dobrych chęci był także antreprener robót budowl. pan Odrzywolski. Przecież nie zamierzał zakładać na Wawelu wzorowej szkoły niszczenia zabytków i dzieł sztuki. A jednak taki jest rezultat pracy, na którą patrzeć już dłużej nie jest w stanie, znany z anielskiej cierpliwości i pojednawczego usposobienia c. k. konserwator p. Tomkowicz, manifestujący — zbyt późno — usunięciem się, do jakiego stopnia odczuwa to, co się dzieje i dalej dziać będzie. Jakiż rezultat odsunięcia Akademii sztuk pięknych (fakt, będący istnem *curiosum*) i w ogóle artystów od współudziału w pracach, które najżywiej cały naród obchodzić winny? Marny. A jednak sfery decydujące w tej kwestyi ożywione były chęciami jak najlepszemi.



Willa Góralska.



Irena Bohussówna
w roli Jasia w »Jasiu i Małgosi« Humperdincka.

Tak się rzecz ma i z rezultatem pracy polskich artystek. Chęci dobre, pochwały gorącej godne — rezultat bardzo słaby. Słaby ilościowo; o to mniejsza, boć każdy początek trudny, słaby jakościowo, ujawniający kompletny brak zrozumienia kwestyj w sztuce podstawowych i obranie drogi błędnej. Artystki polskie dowiodły — i to odrazu uderza, gdy się wchodzi na Wystawę — że nic, a nic nie rozumieją charakteru góralszczyzny. Wystawa tych pań jest kolorkowa; nic nie jest mniej kolorkowem, aniżeli góralszczyzna. Serdak — to jedyny wyjątek. (Wręcz przeciwnie ma się rzecz z huculszczyzną). Tym paniom — jak i panu Kovatsowi — należy wytłómaczyć, że u podstawy jest zrozumienie c h a r a k t e r u*) Podhala. Bez tego — ani rusz. Otóż, pstrzenie wszystkiego kolorkowemi plamami sprzeciwia się charakterowi góralszczyzny. Czyż te panie nie znają zbiorów muzeum Tatrzańskiego, Dembowskiego, Gnatowskiego, wnętrz chat? I owszem? I panie mi dowiedziecie, że to, co nam pokazujecie, jest choć trochę do tamtych rzeczy podobne? Naturalnie, słyszę odpowiedź: czyż nasze mebelki nie są usiane gwiazdami, lelujami? Otóż to! kubek w kubek dowodzenie pana Kovatsa: mój maurytański bufet ma na froncie dwie leluje, a zatem jest to mebel góralski. Nie, moje panie! Miliony leluj nie zdołają zatrzeć zasadniczych błędów w skomponowaniu całości. Tu przedewszystkiem o formę, o linię, o ducha, o całość chodzi. Szczegółik, to tylko szczegółik. Te wasze mebelki, moje panie, to jakieś małe, laleczkowato-buduarowe zabaweczki. Gdzież tu siła, powaga, szlachetność, prostota? A więc ten styl nie do buduaru? Nie! i do stu djabłów z buduarami! Byliśmy narodem sielskim i rycerskim, nie do buduaru; nam żyć, pracy się imać, a nie w buduarach gnić!

Darujcie moje Panie! jesteście na najfałszywszej drodze; niechaj ta pierwsza, nieudana próba idzie w niepamięć. Wniknijcie przedewszystkiem w ducha Podhala, ogarnijcie całość, od całości przechodźcie do szczegółów, a stworzycie coś, co będzie sztuką. Boć hasłem naszem: »Sztuka«, nie zaś: »Byle co, aby swojskość«.

Tego Wam życzy sługa i podnóżek

Feliks Jasiński.

Kraków, 10 stycznia 1902.

*) Typowym wzorem rzeczy pozbawionej wszelkiego charakteru, a więc lichej, jest projekt kościoła Zbawiciela, do którego budowy w tej formie nie należałoby dopuścić.

Sylwetki teatralne.

III.

Irena Bohussówna.

Wiązankę sylwetek i szkiców artystów i artystek teatrów naszych kontynuujemy sylwetką Ireny Bohussównej. Jest ona dzisiaj primadonną opery lwowskiej, ulubienicą naszej publiczności. I z prawdziwą przyjemnością przychodzi nam pisać



Irena Bohussówna.



Teatr królewski w Stockholmie.
Do podróży malowniczej po Szwecyi.

o tej artystce, której, ze stanowiska czystej sztuki, prawdziwy hołd się należy. Primadonna! to brzmi tak uroczyście, a wszyscy przecież pamiętamy pierwsze występy Bohussównej, kiedy była ona taka nikła, niepozorna i nie wiele wróżąca, wszyscy mamy w pamięci jej koleje artystyczne, to przerzucenie się do operetki, a wreszcie po znakomitej kreacyi w »Opowieściach Hoffmana«, wstąpienie do opery. Co dziś zdumiewa u tej artystki, to właśnie ta miara artystyczna, ten bajeczny spokój i ten srebrny liryczny smętek w głosie, którym łzy wyciska. Niema w jej organizacyi artystycznej nic jaskrawszego, nic bardziej obliczonego na efekt, tylko wszystko jest subtelne, przyciszone jakieś i bardzo piękne. Najbardziej skończoną kreacyę stworzyła Bohussówna w »Manon« Masseneta. Jest to najwyższy już szczyt sztuki śpiewaczej i artyzmu najczystszego. Świetną jest ta artystka również w »Manru«, jako Ulana, w »Jasiu i Małgosi« Humperdincka, w Fauście«, w »Lohengrinie« itd.

Śmiało możemy dziś zaliczyć Bohussównę do najznakomitszych śpiewaczek lirycznych polskich.

h. z.

Modlitwa.

O moja biała, o moja święta,
W której drży boskie, przedwieczne Słowo,
W Jasnowidzenia chwili poczęta
Mistycznych wzruszeń i snów Królowo.

Ty, co mkniesz w bezmiar mgławic i ciemnic
I wzrok w błękitnem gubisz przeźroczu,
By noc przepastnych, mrocznych Tajemnic
Z przed zadumanych moich zwiać oczu;

Wieszczko przeczysta, natchnień mych Pani,
Co w przestwór z ziemskiej rwiesz się otchłani
I pieśń-huragan wyrzucasz z łona;

Ty, z której wszystko rodzi się wieczne,
I rozkosz wizyi i łzy serdeczne:
— Bądź pozdrowiona!

Jasło.

Józef Wiśniowski.



Port św. Błażeja w Stockholmie (strona północna).

Podróż malownicza

SVERIGE.

(Ciąg dalszy).

Stockholm, to przeciwieństwo właśnie, ruch i życie; przeszłość jest tu szanowana, ale zaledwo widać jej ślady i odciski jej stóp; teraźniejszość tutaj żyje, rusza się, tworzy, zdobywa przyszłość, płynie jak te wody słodkie i słone, nad któremi miasto się rozrasta. Tu niema sztucznych nasypów i grobli, tylko skaliste wyspy, tu niema martwych kanałów, ale żywe wody. Ta stolica, to wyspa i naokoło niej wyspy i wysepki, na nich skały i lasy, zagrody i ogrody; płynie się tam wpośród takich uroczych światków na głębiach, co chwila inny z wód się wyłania, bo na przestrzeni kilku mil jest ich 1.200. Odezwałem się raz wobec króla Oskara: ach, kupiłbym sobie taką wysepkę ze skałą, na której jest miejsce tylko na jeden dom i ogród... przepływają koło niej dniem i nocą okręta i łodzie, a w zimie przechadzka do stolicy po śniegu i lodzie na nartach... — Uśmiechnął się król i powiedział: toby się panu nie udało, nie zebrałbyś pan takich sum, żeby skłonić Szweda do sprzedaży kawałka swojej ziemi, a już obcemu, to zgoła niemożliwe... — A ta stolica zupełnie jest inna, jak nasze europejskie. Nie jest wielka, nie jest potworem, któryby kleszczami swoich ramion mrowisko ludności dławił, hodując nędzę i zbrodnie. To miasto niewielkie, zaledwo około 300.000 mieszkańców, a rozsiadło się szeroko po obu brzegach słodkiego jeziora Moeler i słonego jeziora Saltziö, które łączy bystry, wartki, potężny Norrstroem — a ciągną się te słone wody, aż do pełnego Bałtyku. Ale to małe miasto przewyższa olbrzymie stolice wszelkiemi stołecznemi urządzeniami. Darmoby kto szukał w Paryżu lub w Wiedniu takich restauracyj i kawiarni jak Haselbaken, Mosebaken, dokąd się jedzie pionowo, liftem elektrycznym, jakie dziesięć piąter nad wodami, żeby ztamtąd rozglądać się naokoło po mieście, poza miasto, w bezgraniczną dal. Park Berseliusa, hotel Rydberg, szkoły, szpitale, komunikacye, telefony, fabryki... wszystko na taką skalę i na taką modłę, że Europejczyk tylko zazdrościć może... Rozmyśla się o tem, siedząc w noc jasną na tarasach kawiarni, owinąwszy się kocem wełnianym. Ostrzegają Szwedzi, że w nocy łatwo się zaziębić; więc kawiarnie mają dla gości koce, każdy innej barwy; zabawnie to wygląda. Wesołość, uprzejmość, atmosfera zadowolenia naokoło, rozprasza niezabawne myśli podróżnika. Można im wszystkiego zazdrościć, mają morze, wolność, bogactwa i artyleryę... Wśród rozmowy powiedział mi raz król: »My tu żyjemy bardzo szczęśliwie; Szwedzi to naród pracowity, uczciwy, dobry, spokojny...! Tak



Most Wazów w Stockholmie.

jest dzisiaj, bywało niegdyś inaczej. Naród ten z burzliwej i krwawej przeszłości umiał się przebić do spokojnej, płodnej teraźniejszości, umiał siebie zmienić, stać się takim, jakim jest dzisiaj...

Głównym żywiołem i znamieniem Stockholmu są woda i wyspy, więc zatem idą: mosty, porty, rozległe widoki, na wybrzeżach górzystych i na wyspach parki, budowle, tarasy, wzdłuż wybrzeży promenady, światło, powietrze, zdrowie, najwyższa kultura, bo woda, to jej główny gościniec. Stary Stockholm oddzielają mosty od nowych dzielnic; w starym stoją główne pomniki historyczne i posągi zasłużonych ludzi, a w pośrodku niejako pałac królewski. Ruch na wybrzeżach i w portach ogromny; stwarza go przemysł, handel, marynarka. Mogą oni mieć swoje okręty, bo nad wodami połowę całego kraju, przeszło 2,000.000 hektarów jeszcze pokrywają lasy... Nasze ryciny przedstawiają główne widoki tej stolicy osobliwej. Jaki tam ruch i życie panują niech objaśni bodaj jeden przykład: telefony. W hotelach telefon w każdym pokoju; praczka, drwal, krawiec mają telefony; w budkach rybaków i przekupek owoców telefony, lubo te budki na niedzielę rozbierane bywają; gospodyni domu załatwia wszelkie interesa telefonem, na każdej ulicy biura telefoniczne, opłata 10 halerzy. Są dwa centralne instytuty, państwowe, na cały kraj i pewszechny, lokalny »Allmaenna Telefon Aktiebolag«. Powszechność używania telefonu, największa tutaj z całego świata, wynika z dwóch powodów: raz z wielkiego ruchu, powtóre z taniości opłat; bo też urządzono się w sposób, o jakim w Europie jeszcze nikomu innemu się nie śniło. Inna opłata za telefon lokalny: rocznie 25 koron, inna za ogólny na 50 klm: 50 koron, na cały kraj: 100 koron. Nadto można abonować się na pewną tylko ilość rozmów; za 400 rozmów: 36 koron. Każdy dziesiąty mieszkaniec ma telefon, zatem każde mieszkanie. Każdy przybywający okręt bywa natychmiast z centralnem biurem połączony, każdy podróżny może zaraz z miastem rozmawiać. Wieża centrali, którą tworzą tylko belki żelazne, a między niemi sieć tysięcy drutów, wystaje ponad miasto, niby maszt olbrzymi, niby godło tej najwożytniejszej stolicy, która jest jeziorem, parkiem, wyspą...

Sprawdzimy jeszcze inne wielorakie jej uroki.

IV.

Kiedy Szwedzi urządzili w r. 1897 swoją, krajową, jubileuszową wystawę, to spieszyły tam tłumy turystów z Europy i z Ameryki. Już bowiem świat skandynawski jest o tyle znanym, że pociąga, zaciekawia i liczono na to, że i wystawa szwedzka nie będzie nudnym szablonem europejskim. Nie omylono się; była to wystawa zupełnie inna, a nadto takie sposobności ułatwiają poznanie kraju, ludzi, urządzeń — wszystko znamienne od razu w oczy wpada. Nie będę tu opisywać owej wystawy, lecz zwrócę uwagę na rzeczy i sprawy, które ona ujawniła, które podróżnik zapuszczając się potem w głąb kraju na każdym kroku spotyka.

C. d. n.



Na bal kostyumowy:
Kostyum z epoki kongresu wiedeńskiego z żółtego jedwabiu z aplikacyami z różowego jedwabiu.



Rodzaj „Alt Wien"
(z jasno-zielonej gazy z aplikacyą w formie liści).



Subretka z epoki roccocco:
Spódnica z atłasu, fartuszek batystowy,



„Portugalka"
(Staniczek i spódnica z czerwonego sukna, koszula płócienna, fartuszek z mozajką ze skrawków sukna) z albumu »Wiener Mode«.

DLA NASZYCH PAŃ.

W jednym z najbliższych zeszytów przyniesiemy Szan. naszym czytelniczkom artykuł o sukni polskiej z zastosowaniem motywów stylu zakopiańskiego, pióra znanego mecenasa i pioniera sztuki Feliksa Jasieńskiego. Artykuł będzie ilustrowany odpowiedniemi rysunkami.

Zapusty wiedeńskie.

(Przedruk artykułu zabroniony).

A czy znasz ty wiedeńskie zapusty?

Znać je, rozumieć, cenić należycie, na to nie trzeba się urodzić nad modrym Dunajem... Wystarczy wsłuchać się w melodyjne tony walca niezapomnianego Straussa, polubić lekkie złotawe wino austryackie, wyrosłe na słonecznych stokach wzgórz od Kahlenbergu aż po Baden, a przedewszystkiem poznać i zżyć się z ową *Gemüthlichkeit* wiedeńską, która bądź co bądź w Wiedniu ma jeszcze swą siedzibę — w Wiedniu, nie tym politycznym i nie w śródmieściu, ale na przedmieściach. We krwi wiedeńczyków płynie tyle kropel krwi słowiańskiej, włoskiej, francuskiej, nawet hiszpańskiej (wojny Napoleona i liczne kwaterunki!), że tem tłomaczy się ich, u Niemców ordynarnych i rubasznych, niezwykła wesołość, pewien polot fantazyi, umiejętność zabawy, którą Wiedeń słusznie słynie.



„Słonecznik"
(z żółtego jedwabiu z aplikacyą z bronzowego aksamitu).

Jak słyszę u was w Krakowie jeszcze dość głucho. I w Wiedniu sezon wielkich balów jeszcze się właściwie nie zaczął, nie mniej karnawał w pełnym już znajduje się ruchu. Ogólne zblazowanie — pozowanie na nudę, uchodzi dziś za kokieteryę! — znikło gdzieś, porwane wirem wesołości tak krótkiego karnawału.

Nawet rój najbardziej zblazowanych gogów i gogątek ocknąć się musi ze swego rzekomo wytwornego letargu, bo któż zdoła się dziś, przy dzisiejszej modzie, oprzeć się urokowi smukłych, wiotkich postaci pań i panien? Nawet jeśli dobrotliwa matka-przyroda nie jednej może poskąpiła swych darów, to natomiast moda-czarodziejka tegorocznego sezonu balowego potrafi niejednokrotnie wyrównać lub zakryć »wrodzone« braki. Spódnice wąskie u góry, zachodzące się szeroko dołem, suknie *princesse*, przypominające nieco *genre empire*, które malowniczo uwydatniają linie ciała, wreszcie staniki obcisłe, puszczone z przodu wolno — mają tę zaletę, że potrafią kształty kobiece przedstawić i uwydatnić jak najkorzystniej.

Kult gracyi jest dzisiaj pierwszą zasadą naszej mody. Przytem moda dba dzisiaj o kolor i lubuje się w zestawianiu kilku barw. Kombinacye, które przed paru laty wydawały nam się wręcz niemożliwemi, sprawiają dzisiaj nader miłe wrażenie, dzięki umiejętności harmonizowania barw. Co prawda w suknie w kilku kolorach ubierają się głównie młode kobiety; dla panny, którą po raz pierwszy w świat karnawałowy prowadzą i wogóle dla młodych panien głosi moda nadal



Na bal kostyumowy:
„Mewa" (gaza malowana, tunika z aksamitu panne)

wdaną zasadę: **b i a ł y, r ó ż o w y**, albo **b l a d o n i e b i e s k i m u ś l i n i t i u l.**

Taka sukienka panieńska — wierzchnia spódnica z białej gazy, z pod której przezierają mieniące się barwy kilku »fałszywych« spódniczek z różowego i niebieskiego tiulu — taka sukienka wiotka, eteryczna, nadzwyczaj artystyczne sprawia wrażenie, zwłaszcza, jeśli ją zdobią jeszcze aplikacye z koronek albo riusze z tiulu, niby girlandy kwiecia, bramujące spódnicę i stanik.

Stoimy nieraz zdumione przed taką sukienką i pytamy się mimowoli, czy ręce ludzkie, czy też ręce jakiej czarodziejki sprawiły to arcydzieło kunsztu modniarskiego.

Prócz tych kunsztownych arcydzieł igły, są w modzie o wiele prostsze, ale przeto niemniej wytworne sukienki z *mousselinechiffon*, których jedynem przybraniem są ruloniki atłasowe, tworzące zarazem zakończenia powiewnych wolantów albo bert u stanika. Jasno-czerwone gałązki wiśni, albo blado-zielone, delikatne gałązki wrzosu urozmaicają przyjemnie ewentualną monotonię tego rodzaju sukienek.

Starszym mężatkom moda pozwala dzisiaj na rozwinięcie wielkiego zbytku. Materye używane na suknie balowe, mają połysk srebrzysty lub złoty, a wśród koronek, aplikacyi i inkrustacyi świecą, niby krople rosy, chętnie do przybrania, zamiast pailletek używane *pierres de Strass.*

Wspaniałe są toalety z czarnego tiulu z aplikacyami z białego lub czerwonego aksamitu; wprost oszamiające zmysły suknie z gazy, które nakształt pancerza albo łuski rybiej otaczają ciało, lśniąc się i mieniąc wszystkiemi barwami przy każdym ruchu. Motyw **o c z e k p a w i c h**, wykonany z aplikacyi aksamitu, koronek i t. p., jest efektowną ozdobą sukni fasonu *empire* i działa b. dekoratywnie.



Kapelusze sezonowe.



Kapelusze sezonowe.

W w y c i ę c i u sukni moda zaprowadziła zmianę. Niskie *decolté* dozwolone jest tylko na plecach, ale nie *en pointe*, lecz linii prostej od ramion przechodząc w dół tak, że stanik zdaje się być trzymanym u ramion tylko przez kilka sznurów pereł, albo przez sznureczki złote lub srebrne. Te sznureczki bywają często przeciągane z przodu, kontrastując dobrze z karnacyą biustu, a nie psując linii toalety.

Pewne zboczenie od kierunku obecnej mody przedstawia, pojawiająca się tu i ówdzie suknia fasonu *Pompadour*, której obcisły *corsage en pointe* z bufiastą u bioder spódnicą oznacza może, wyraźnie powtarzam: **m o ż e** — powrót do dawnych czasów, tym razem nie do tych dawnych **d o b r y c h** czasów. A trzeba wiedzieć, że rozchodzą się przerażające wieści: w Paryżu tajemniczo tu i ówdzie obija się o uszy straszne słowo: **k r y n o l i n a!** Wszystko to dzięki pewnej kostyumowej sztuce teatralnej, cieszącej się wielkiem powodzeniem i dzięki szczególnemu urokowi artystki, jak Jeanne Hading, której i w krynolinie do twarzy... Ale co nas strachy obchodzą? Niepodobna to rzecz, żeby moda mogła kazać nam nosić krynoliny! Dajmy już spokój temu tematowi i przyjrzyjmy się raczej nowej modzie rękawów, która fantazyi swobodne pole zostawia. Oryginalność obowiązuje w tej dziedzinie do tego stopnia, że widzieć można **d w o j a k i e** rękawy u jednej toalety. *Mousseline de soie*, wstążki i kwiaty dostarczają materyału na rękawy. Gdybyż pióro mogło opisać te cuda! Ale to próżny trud! Lekka gaza obejmuje ramię oplotem powiewnym; forma jest na pozór nieokreślona, a przecież z jakim to kunsztem, z jakiem *raffinement* wszystko to obmyślone i wykonane! Bardzo wyszukane bywają też *dessous*, które nieraz przy tak zwanych skromnych sukniach wieczorowych są wielce zbytkowne i artystyczne, znacznie kosztowniejsze i kunsztowniejsze od sukni, która je okrywa. N. p. wolanty z malowanego *mousseline de soie*, albo halki jedwabne, całe pokryte aplikacyą z koronek...

* * *

Jeśli się zważy cały ogrom pracy i kosztów, zużyty na te eleganckie części toalety, tembardziej cieszyć się wypada, że bale kostyumowe coraz więcej wchodzą w modę. Tu przynajmniej możemy być indywidualni, nie wydając sum bajońskich; tu wszystko jest dozwolone, byle podnosiło piękność kobiety, a przy toalecie zważamy nie na jej kosztowność i nie na moc włożonej w nią żmudnej pracy, ale na samą ideę, na sam pomysł. Indywidualność, oryginalność i korzystne wyglądanie — to jedyne obowiązujące zasady.

Etincelle.



Kapelusze sezonowe
(z wydawnictwa »Nowe Mody«)



Pałac królewski w Stockholmie.



Na Skansen.

Nakładem Redakcyi »Głosu Narodu«. W Drukarni »Czasu« w Krakowie.